



TYLKO PIĘKNE PRZEDSTAWIENIE

Bieżący sezon, jak dotąd, nie był niestety bogaty w autentyczne wydarzenia teatralne. Wciąż jeszcze de facto czekamy na nie. Coraz bardziej gorączkowo i niecierpliwie, jakoby że jest już bardzo późno. I nieuchronnie zbliża się już maj, miesiąc wielkich, bilansujących jego dorobek festiwali.

Tym większe więc nadzieje i oczekiwania wzbudzić mogła marcową premiera „Nie-boskiej komedii” Zygmunta Krasińskiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu. I dzieło z rzędu tych, z którymi nie każdy bezkarnie zmierzyć się może i potrafi, i reżyser, o którym mówi się i pisze zarówno z szacunkiem jak i z oczekiwaniem — Jerzy Grzegorzewski, jeden z liderów „młodych-zdolnych” sprzed dziesięciu lat. Wszystko więc zdawałoby się przemawiać za tym, aby nie baczając nawet na nie zarezerwowany hotel, nie zwlekając dłużej, jechać jednak do Wrocławia.

Wrocławskie przedstawienie „Nie-boskiej komedii” przede wszystkim jest — i to w dobrym tego słowa znaczeniu — bardzo teatralne. Pierwsza, otwierająca je scena, zdaje się zapowiadać rzeczywiście wielki spektakl. Nic nie ma w niej z teatralnej sztampy. Nic z tej wielkiej narodowej opery i deklamacji, do jakiej w końcu mogłoby nawet upoważniać reżysera samo to dzieło. Kiedy kurtyna unosi się, znajdujemy się w salonie. W salonie bardzo romantycznym i jak to zwykle bywa u Grzegorzewskiego, dość mgliście zarysowanym i niekonkretnym. Z jednej strony sceny fortepian oraz parę sprzętów z epoki tworzy sugestię wnętrza

salonu, z drugiej gmatwanina rozmaitych przedmiotów działających na prawach znaku teatralnego, rekwizytu i symbolu, dopowiada nam resztę, buduje nastrój i klimat spektaklu. Przedstawienie rozpoczyna Muza swą śpiewną inwokacją. Egzaltowana, rozmarzona, myślami prawie nieobecna. Ale nie tylko ona jest taka. Cały spektakl rozgrywa Grzegorzewski w takim właśnie na wpół somnambulicznym transie i półśnie. Wolno, statycznie, na pograniczu snu i rzeczywistości, w takt nerwowo rwącej się co chwila, wyjątkowo pięknej zresztą i sugestywnej muzyki Stanisława Radwana, która pozwala wszystko zamknąć nie tyle w słowach, co w

ruchu, pauzie, w pantomimicznym geście.

To co teraz oglądamy ze sceny zdaje się znajdować pełne uzasadnienie w zamieszczonej w programie przedstawienia wypowiedzi reżysera. Grzegorzewski zdecydował się bowiem spojrzeć na nadciągającą nieuchronnie katastrofę warstw rządzących i rewolucję przez pryzmat indywidualnych przeżyć i sennych wyobrażeń poety. W sposób skrajnie subiektywny, ahistoryczny i niekonkretny. Wszystko to co demonstrowa nam aktorzy, rozgrywa się więc tutaj w sennie wyobraźni, w wizji snującego wątki swego przyszłego dzieła, poety. Jest nieostre, nierzeczywiste. Zro-

„Nie-boska komedia” Krasińskiego w inscenizacji Jerzego Grzegorzewskiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu Zdjęcie Wojciech Plewiński



dzone w tym półśnie, który pozwala stosować skróty, pauzy, przekłamanie i niedopowiedzenia.

Takiej koncepcji odczytania Krasińskiego, można oczywiście przeciwstawić inne racje i kontrproponycje, ale można również przyjąć ją i zaakceptować dopóki wszystko to ma uzasadnienie w samym spektaklu. Ale każdy pomysł, każda poetyka i koncepcja ma swoje ograniczenia. Kiedy bowiem pojawia się autentyczny spór dwóch racji stanu, kiedy dochodzi do bezpośredniej konfrontacji idei oraz uosabiających je postaci hrabiego i rewolucjonisty, poetyka snu i swobodnej gry wyobraźni, przestaje nam jak gdyby wystarczać. Staje się tylko pewnego rodzaju chwyt formalnym, namiastką problemu, samą tylko teatralizacją. Dialog hrabiego z Pankracym zabrzmiał więc we wrocławskim przedstawieniu „Nie-boskiej” wyjątkowo pusto i głucho. Tej sceny, która stanowić powinna klucz interpretacji dzieła, na dobrą sprawę zabrakło w tym spektaklu. Odtwórcy obu tych postaci: Andrzej Wojacek (hrabia Henryk) oraz Igor Przegrodzki (Pankracy) niczego niestety nie potrafili wnieść od siebie. Rzecz jasna winić za ten stan rzeczy należałoby aktorów, w tym jednak akurat przypadku chyba jednak reżysera. Powstaje tu bowiem pytanie czy przyjęta przez Grzegorzewskiego poetyka spektaklu pozwalała im w ogóle na to.

Przedstawienie Grzegorzewskiego jest bardzo piękne teatralnie, ale pęknięte od wewnątrz. Składa się ono jak gdyby z dwóch nie zawsze przystających do siebie części. Z bardzo pięknego teatru oraz dość mglisto i nieostro zarysowanej interpretacji. Czegoś wyraźnie mu nie dostaje. Dzieło Krasińskiego zostało przez Grzegorzewskiego uteatralnione i upiększone, ale równocześnie w swych treściach historyzoficznych wyraźnie zubożone. To prawda, że przywódca i polityk był równocześnie uwikłany w swój własny dramat, poeta. Ale nie był on przecież tylko poetą. Podobnie zresztą jak i sam Krasiński. I dlatego też chyba zamiast wielkiego spektaklu powstało we Wrocławiu tylko piękne przedstawienie.

OLGIERD BŁĄZEWICZ

„Jedzenie” 1979, nr 16 (22.04.1979)